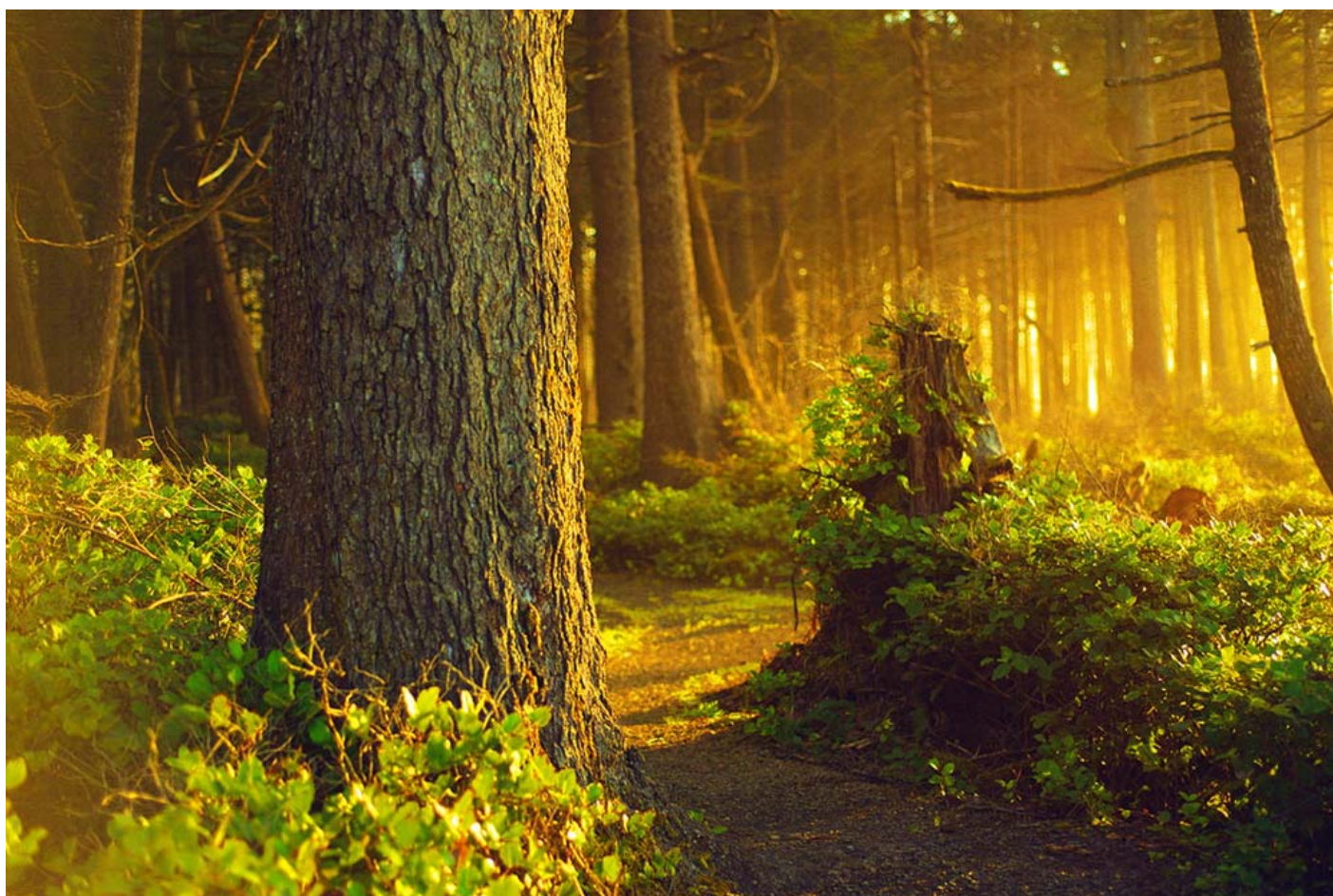


W Jarze



Ryszard Sawicki

- Dopiero marzec - pomyślał Józef. Patrzył na ośnieżoną ziemię, na ciemne pnie drzew, które wydawały mu się drewnianymi kolumnami starego domu, podtrzymującymi dach nad gankiem, ale dom ten i ganek nie były takie jak w budynku, gdzie mieszkał,

niewielkim, obrośniętym dzikim winem, te pnie starych drzew, grube, mocne, były jak kolumny w olbrzymiej świątyni, zbudowanej dla bogów z innego świata niż jego świat, z minionego świata jaki jawił mu się czasem, gdy wchodził do lasu. W leśnym jarze, głębokim i ciemnym nawet wówczas, gdy ziemia wysłana była nieskazitelną bielą śnieżnego kobierca i lśniła w półmroku, w podolskim jarze wyrzeźbionym przez wodę roztopów, a płynącą pod ziemią jeśli nie musiała, z powodu nadmiaru, płynąć po powierzchni. Patrzył na drzewa, które wyrosły długo przed jego pierwszą wizytą w tych okolicach, przed pierwszym zejściem do jaru, do źródła, które biło w jarze. Te prastare drzewa były jego przyjaciółmi, od których, jak mu się zdawało, mógł w trudnych chwilach spodziewać się pocieszenia.

Potrzebował pocieszenia, bo czuł, że *serce smuci się wspomnieniem, a co było dawniej już nigdy nie wróci*, jak wyraził wierszem wstępując do jaru. Układał takie rymy w samotności, a potem, wróciwszy do domu, starał się zapisywać to, co jeszcze pamiętał. Ale zazwyczaj zapominał swoje rymy zanim jeszcze wyszedł z lasu.

Wśród drzew rosnących w jarze rymy dawały się słyszeć jak szum lekki, tajemniczy, niosący się z oddali. Dobiegały nie tylko do uszu, lecz i do duszy człowieka. Szum wiatru w liściach lub szum strumienia mieszał się z tym szumem słów. Szum albo szept raczej, w którym słyszał czasem wabienie – idź do źródła

skąd płyną tajemnice.

Czasem ogarniał go lęk przed tymi głosami. Tłumaczył sobie, że nie musi podążać do żadnego ukrytego źródła, że rozumie wszystkie głosy lasu, a także głosy, które dobywały się z dna duszy.

Znał źródło swego żalu. Pozwalał mu pulsować, ale nie chciał odgarniać liści, które spadły na wodę w tym źródle. Nie chciał zagłębiać się w przebrzmiałe rozmowy, pozwalał im jednak sączyć się z dna pamięci. Pozwalał, by dobiegał go cichy płacz, którego on, Józef, nie zdołał utulić. Pozwalał otwierać się zakamarkom pamięci, w których tętnił żal.

W ciemnym jarze nie słyhać było głosu dzwonów, bo dzwonnice były daleko za lasami. Ptaki śpiewały też jakby ciszej. Józef wierzył jednak, że cisza jest mu przyjazna. Znał swój las dobrze, był przecież jego strażnikiem. W kościelnej łacinie, w dokumencie jaki otrzymał z klasztoru, dla którego pracował, nazwano go „*prefectus silvarum*”. Wszystkie drzewa, także i te w mrocznym jarze, a więc jakby bardziej poważne czy nawet smutne, były mu powierzone. Las był dlań powiernikiem jak i on dla lasu.

W jarze wiersze nachodziły Józefa najczęściej. Były zwykle smętne, jakby zanurzone w mroku, który go zewsząd otaczał po

śmierci żony. Nawet śmiech dzieci, ich zabawy, nie zawsze potrafiły rozweselić wdowca. A kiedy każde z dzieci odchodziło po kolei z domu, zakładało własne rodziny, smutek opanowywał go jeszcze podczas wesela. I dlatego lubił las, lubił stare drzewa, nie tylko te młode, które sadził w okolicy własnymi rękami, o które dbał. Nazywał je swoimi, bo były jego, jemu zawdzięczały życie. Szedł ogarnięty smutkiem do tych starych drzew, pamiętających ludzi, których wcale nie znał, a którzy zapuszczali się do jaru dużo wcześniej niż on go oswoił. Nim zaczął budować z okolicznych kamieni leśną kaplicę, modląc się o łaskę radości.

Wierzył, że radość przychodzi z wiosną. Tak do młodych jak i do starych drzew. Do roślin i do ludzi. Radość, której nie mógł nazywać radością lata. Sądził, że lato jest nie dla niego, że go pominęło. Dojrzałego życia nie potrafił utożsamiać z dojrzewaniem zbóż. Odkąd zabrakło mu towarzyski życia, odkąd sam musiał troszczyć się o dorastające dzieci, niecierpliwie czekał na każdą wiosnę. Tylko wiosna budziła w nim nadzieję odmiany, radość życia. Ale głos lasu nie był wyrazisty.

Tego dnia, 19 marca 1907 roku, myślał o wiosnie. I mówił do siebie - czemu lata nie zaznałem, choć doń tyle razy wzdychałem; takie losu mego przeznaczenie, nie mając przed kim zwierzyć me cierpienie, wiosnie raz tylko zwierzyłem się o tem, której ufałem tak przed tem jak potem.

Myślał o tym wszystkim co się zdarzyło od przedwczesnej śmierci żony. O powrotach pór roku, o wiecznym upływie czasu. O tym, że niedługo znowu trzeba będzie zająć się pszczołami. Myślał o tych swoich pracownicach, które wymagały opieki nim nazbierały miodu, by go mógł sprzedać i zapewnić sobie dodatkowy dochód, skromny ale ważny, bo jego pensja leśnika nie wystarczała na utrzymanie, na ubrania dla dzieci, na ich edukację.

Myślał coraz rzadziej o Jadwidze, zmarłej żonie, a coraz częściej o Helenie, córce przyjaciela, również leśnika.

Miał wyrzuty sumienia z powodu tych nowych myśli. Wyrzucał sobie każdą wizytę u Ludwików. Wyrzucał sobie pocałunek, na który pozwolił sobie po latach znajomości z Heleną. Ułożył wiersz o tym pocałunku, bo wiersz wydawał mu się mniej jego własną, a bardziej cudzą wypowiedzią, jakby opisem czyjegoś, nie jego własnego doświadczenia. Wspominał wiersze Słowackiego, zwłaszcza ten fragment „Balladyny”, w którym Goplana mówi do Grabca: *Pocałowanie to ślub dla czystych dziewic, na dziewiczym wianie za każdym pocałunkiem jeden listek spada*. Ale odpowiadał sobie wierszem Szymonowicza, w którym także mowa o pocałunku: *Marna rzecz całowanie; ale w tej marności są też swoje przysmaki, są swoje słodkości*. W swoim własnym wierszu usprawiedliwiał się dlaczego pocałował w usta, a nie w policzek. Skarżył się przy okazji, że usta panny

były zimne. I, że była *trzpiotką*. I, nim uciekła *jak dziki kotek*, powiedziała – wesoło, w buzię, z boku, w oczek dwoje, na to chętnie zgodzę się, pozwolę... ale w usta... to... nie higienicznie.

W wierszu przyznał się też, że zawsze całuje w usta, więc tego jednego całusa nie można traktować wyjątkowo... choć był wyjątkowy. Takimi rymami bawił się jakby miał lat kilkanaście, a nie, bagatela, ponad pięćdziesiąt. Cóż, usta panny nie były chyba aż tak zimne. Może jeszcze tego dnia 1907 roku nie wyobrażał sobie, że będą cieplejsze. Może był zajęty budowaniem kaplicy, znoszeniem kamieni, które znajdował w lesie. I modlił się o zmianę losu, jednocześnie wyrzucając sobie te modlitwy.

Wiersz „z jaru” zatytułowany był „Skarga”. W jarze myślał o minionych latach. Nim przeszedł od skargi do całusa, przeżył jeszcze jeden rok, znowu spoglądał na pracujących w polu rolników i sam zbierał z uli miód. *Już kłos dojrzały powiązany leży, zagonów skiby czernieją od słońca, a lud spracowany rad by dnia końca doczekać i wrócić do domu, do swego ogniska, bo tam zawsze można pełnię sił odzyskać... ja jednak nie mam po co wracać do swej chaty, bo wiatr jesienny rozwiął przed laty żar, który ktoś wzniecał, ktoś umiał podtrzymać.* Tak pisał w marcu 1907 roku, w głębokim jarze, na którego dnie leżał jeszcze śnieg.

Drugi wiersz o pocałunku został zanotowany 9 marca 1908 roku. Ale i wtedy nie wiedział jeszcze, że panna Helena mu naprawdę

przeznaczona. Nie wiedział, że rodzina Ludwika jest bardziej przychylna jemu niż o wiele młodszemu od niego adoratorowi. Nie przypuszczał, że może być jeszcze raz w życiu w pełni szczęśliwym.

Zabiegał o rękę pięknej Heleny przez czternaście lat. Postanowił nie żenić się nim którekolwiek z dzieci z pierwszego małżeństwa nie ułoży sobie życia. Czekał. Chodził po lesie, zaglądał do leśniczówki w Kozłowie. Pisał wiersze. Doglądał pszczół, sadił drzewa. Miał nie tylko kogo, ale i co kochać.

Lasy klasztorne były ogromne. Wieś Gawareczyzna była położona daleko od innych wsi, a do najbliższego miasta, Białego Kamienia, było pięć kilometrów. Wieś zamieszkiwali biedni gospodarze, przeważnie Rusini, i jedna rodzina żydowska. Zajmowali się garncarstwem, uprawą roli, korzystali z darów lasu. Józef nie był bogaty, ale pomagał biedniejszym od siebie sąsiadom. Starał się sprzedawać miód i inne wyroby pszczelarskie, ale tym, którzy nie mogli zapłacić, dawał je za darmo. Tak samo jak nabiał i zioła. Nikt, kto tego potrzebował, nie odchodził z leśniczówki z pustymi rękami. Las był przecież dla wszystkich, darzył zawsze szczodrze, więc nie można było skąpić tych darów.

Las też darzył zdrowiem. I siłą. Taką, jak siła starych drzew rosnących w jarze. I tych młodych, które sadił, a które rosły

szybko, zieleniły się coraz bardziej obficie. Z każdą wiosną dziwiły swego opiekuna wspanialszym listowiem. A w jesieni, tej smutnej, bezlistnej jesieni, wspanialszymi, nagimi konarami.

I jemu, Józefowi, sił i zdrowia nie brakowało. Był, mimo upływu lat, jak mocne drzewo, którego nie ugnie byle wiatr, którego gałęzi nawet piorun łatwo nie odłamie. Żył życiem lasu, który wie jak przetrwać, byle człowiek mu nie zagrażał. Byle nie budował zbyt wielu dróg w tym lesie, ani zbyt wielu domów. Obce mu były kłopoty opiekunów miejskich parków, w których trzeba wycinać co roku jakieś drzewa, usychające przed czasem. Pilnować, by nie niszczone kwiatów i krzewów. Miał inne troski.

Ze swymi troskami zwracał się do Stwórcy, który mieszkał nie tylko w murowanych świątyniach. Do tego, któremu ufał, iż nie zaniedbuje go, jak on nie zaniedbywał lasu. Choć nie przestępował kamiennych progów miejskich świątyń tak często jak nakazywał kościelny obyczaj, to jednak często modlił się sam, bez pomocy kapłanów. I tylko uważał, by modlitwy wznosiły się wysoko, jak przystało, ponad wszelkie korony, także i te najwyższe korony drzew. Na wszelki wypadek wyznaczył sobie pokutniczą pracę zbieracza kamieni. Budował własną świątynię, własnymi rękami. Tak, jak zawsze chciał zbudować swój dom. Ale nigdy nie stać go było na zakup materiału. Więc mieszkał w podarowanej mu na czas pracy leśniczówce, a wznosił dom Bogu, z tego co miał pod ręką, o co nie musiał wypraszać u zakonnic.

Nie musiał też tłumaczyć nikomu po co buduje ten dom, a nie inny. Żył po swojemu.

I kiedy panna Helena odżałowała odejście młodego narzeczonego, zaczął drugie życie. Wychował jeszcze dwoje dzieci. Był znów szczęśliwy.

Józef, mój pradziad, zmarł 9 maja 1936 roku, a więc pod koniec wiosny. Podczas drugiej wojny światowej znikł jego grób w Białym Kamieniu, ale do dziś istnieje leśna kaplica w miejscu, które okoliczni mieszkańcy wyznania grecko-katolickiego nazywają Sawicka Góra. Urządzają tam pielgrzymki i wierzą, że źródło bijące w kaplicy ma moc uzdrawiającą.